



## TYGODNIK ILUSTROWANY DLA DZIECI.

### NA MOGILE.

Na mogile ukłękła macierzy,  
 Łza gorąca z modrych oczu bieży,  
 Ból sierocy młodem sercem targa,  
 Z ust żalosa, ciężka płynie skarga:  
 „Oj! matusiu, oj! moje ty złoto,  
 Zostawiłaś córuchną sierotę...  
 Oj! matusiu, ta zimna mogiła  
 Postać twoję na zawsze mi skryła...”  
 — „Nie na zawsze — głos szepnie w mogile —  
 Nie na zawsze! Krótką tylko chwilę.  
 Tu bezemnie zostaniesz, dziecino...  
 Lata życia w mgnieniu oka miną,  
 A kto Bogu wiernie tutaj służy,  
 Ten u kresu doczesnej podróży  
 Przez wyroki Boga najlaskawsze  
 Ukochanych odzyska na zawsze.”

T. P.

### DO ZIEMI NIEZNANEJ

przed czterystu laty.

(Dalszy ciąg).

Krzysztof Kolumb prowadził dziennik tej podróży; w dzień zapisywał, co się przytrafiło podczas nocy, nocą znów notował ważniejsze wydarzenia i czynności dnia ubiegłego.

Gdy w nocy z siódmego na ósmy października pisaniem był zajęty, ktoś wszedł do jego kajuty i lekko uderzył go po ramieniu.

Kolumb odwrócił się i ujrzał hrabiego de Lhera. Błady był i pomieszany.



Na mogile.



— Co się stało, don Ludwiku? — spytał Kolumb kładąc pióro i zrywając się zaniepokojony.

— Złe wieści przychodzę zwiastować ci, admirale — stłumionym głosem odpowiedział młodzieniec — załoga Santa Maria zbuntowała się!... a i na innych naszych karawelach także... Postanowili, że nie pojedą dalej, że jutro skoro świt udadzą się w powrotną podróż do Europy. Zdecydowani są raczej popełnić czyn okrutny, zbrodnię, wrzucić cię w morze, senor, ich królewskim mościom powiedzieć żeś utonął obserwując gwiazdy, a nie popłyną już dalej!... Tak, senor... dzisiejszej nocy, przed chwilą, ukryty wśród pak i żagli slyszalem ich znowę... I oto przybiegłem ostrzedz cię przed groźnym niebezpieczeństwem i prosić... och! senor! nie sprzeciwiaj się tym ludziom... Niech uczynią, jak zechcą!

— Nigdy! nigdy nie zgodzę się na to, don Ludwiku! do browolnie z drogi nie zawrócę. Uważałbym to za tchórzostwo, za wstyd, za hańbę dla sztandaru Hiszpanii, dla Aragonii i Kastylii, dla siebie!...

— A jestżeś pewnym, senor, że wreszcie dopłyniemy do onych przebogatych Indyj, do onych przepięknych lądów, które mają być celem nużącej naszej żeglugi?

— Czym pewny?... o, don Ludwiku, tak pewny jestem, jak tego, że Bóg łaskawy, wszechmocny, miłosierny, króluje w niebiesiach!... Alboż to tylko ja jeden wierzę w możliwość dostania się przez Atlantyk do Indyj?... Zapewne musiałeś słyszeć o Pawle Toscanellim z Florencyi, o tym co zrobił ów słynny słoneczny zegar na katedrze swego rodzinnego miasta? Toscanelli, doktor i niezmordowanej pracy uczoney, zajmował się astronomią i sztuką żeglarską. On pisywał do mnie zachęcając mię do tych podróży i odkryć, które zawsze były najgorętszym moim pragnieniem i celem mojego życia... Wierny, czcigodny przyjaciel! dziesięć lat właśnie już w grobie spoczywa, a ja listy jego zawsze noszę przy sobie, z nich czerpiąc odwagę, podniecie, wytrwałość. Posiadam też mapę, którą Toscanelli rysował. Oto jest, rozpatrz się w niej don Ludwiku.

Średniowieczne karty geograficzne wydały by nam się dzisiaj niby fantastyczne obrazki do zabawy dla dziatwy służące. Niektóre były bardzo wielkie, gdyż po sześć łokci kwadratowych trzymające. Oprócz zarysów, lądów, mórz i wysp, oprócz rozmaitych kółeczek i zygzaków, były na tych kartach rysunki, krajobrazy, rozliczne figurki i zwierzęta.

Środkiem świata według średniowiecznych geografów była Ziemia Święta, Palestyna. Przy napisie „Jeruzolima” był rysunek przedstawiający świątynię Salomona, krzyż i Golgotę i mury, które otaczały święte miasto; nad tem wszystkim unosił się Chrystus zwartychwstający z grobu. Na krańcach dalekiego, mgłą owianego wschodu, było miejsce pobytu pierwszych ludzi, Adama i Ewy: raj ziemski. Niektórzy rysownicy umieszczali raj na górze niebotycznej, inni na wyspie niedostępnej, a czy tam lub owdzie, zawsze raj otoczony był murem z płomieni. Z rajem zwykle sąsiadowała góra wyniosła, chaluteńka z pokładów szczerzego złota złożona. Na południu zachodzie Afryki rysowano uroczę ogrody Hesperyd. Wejścia do tych ogrodów strzegł potwór straszliwy, smok ogniem ziejący. W Afryce też wedle ówczesnych wierzeń, znajdował się kamień zaczarowany, który posiadał własności cudowne: kto zdołał dojść do owego kamienia i na nim głowę położyć, ten stał się odrazu jasnowidzącym; przeszłość ani przyszłość dla takiego szczęśliwca nie miały żadnych tajemnic.

Z rozwojem żeglugi, w miarę dokonywanych odkryć, karty geograficzne stają się coraz mniej fantastyczne.

Na mapie Pawła Toscanelli, zachód Europy, zachodnie wybrzeża Afryki, już miały dokładne i prawdziwe zarysy.

— Otóż widzisz, don Ludwiku — rzekł Kolumb — przysyłając mi tę mapę, mój uczoney przyjaciel! dodał w liście nie które szczegóły o Indjach i sąsiadujących z Indjami wyspach. Za panowania papieża Eugeniusza IV przybył do Rzymu poseł od „króla królów”, (tak azyaci nazywają wielkiego Chana). Przybył prosić, aby Ojciec święty dopomógł jego władcy nawiązać stosunki z europejskimi państwami. Toscanelli po-

znał tego posła i nie raz jeden długie z nim przegawędził godzinę. W jakim języku uczoney florentczyk porozumiewał się z azyatą? Nie wiem... lecz mój przyjaciel chwalił posła, że był to człek układny i wcale rozumny. O swojej ojczyźnie opowiadał dziwy nad dziwami!... że tam jest jakiś port Zaiton z którego roku rocznie przeszło sto okrętów wywozi pieprz i inne cenne korzenie, że tam są marmurowe mosty na przeogromnej rzece, a na wybrzeżach tej rzeki stoi więcej niż dwieście miast wspaniałych, z których znów najwspanialsze jest Quinsay. Toscanelli obliczył, że odległość z Lizbony do Quinsay, zapewne 2275 mil wynosi, a żeśmy do dziś dnia prawie 800 mil przebyli...

— Aż tyle! — wykrzyknął hrabia de Lhera — ja przecież w zapiskach sterników dziś właśnie znacznie mniejszą liczbę znalazłem. Czy nie omyliłeś się, admirale?

— Nie, nie omyliłem się bynajmniej — tylko ja rachunek mil naszej drogi prowadzę dwoiście: mniejsze cyfry podaję do wiadomości marynarzy, aby ich nie przerażała, żeśmy już takie ogromne przebyli przestrzenie, drugi prawdziwy rachunek jest dla mojej wiadomości; no, i będzie dla twojej także, skoro już nie mam dla ciebie tajemnic.

Ośmset mil nieznanym szlakiem przepłynąć w takiej lupinie... och, senor! — zawołał Ludwik — możemy być dumni! przed nami nikt jeszcze tego nie dokonał!...

Zadumali się obadwaj...

Gdy wczesnym rankiem Krzysztof Kolumb w towarzystwie Ludwika de Bobadilla, wyszedł ze swej kajuty, zastał na pokładzie zebraną całą załogę swej karaweli.

Na zwykłe, przyjazne pozdrowienie Kolumba nikt nie odpowiedział... po chwili dopiero kilka głosów zawołało:

— Admirale!

Głosy te zagłuszyły inne, krzyczące:

— Genuieńczyku!

Hrabia de Lhera przysunął się do Krzysztofa Kolumba:

— Zuchwalcy! — krzyknął — chcecież poznać się z ostrzem mojego miecza?!

— Pozwól, don Ludwiku — łagodnie przemówił Krzysztof Kolumb — pozwól, niechaj ci ludzie powiedzą, czego żądają odemnie?

Z gromady wystąpił sternik: Piotr Nino i siwy, tęgim marynarz, Juan Martin.

— Jesteśmy rzecznikami naszych towarzyszy — przemówił Piotr Nino — i w imieniu załóg trzech karawel, oświadczamy ci, senor, że pragniemy jeszcze ujrzeć na tym świecie ukochane nasze rodziny; pragniemy dla nich żyć i pracować; pragniemy ujrzeć drogą naszą Andaluzję i aby kości nasze spoczęły w poświęconej ziemi!... Nie chcemy oddać się bestyom morskim na pożarcie, co zapewne jużby nastąpiło lada godzina... Więc krótko mówiąc: zamiast niby szaleńcy pędzić wciąż naprzód, dzisiaj, natychmiast zwracamy do Hiszpanii!...

— Do Hiszpanii! do Palos! do Kastylii wracajmy, wracajmy bez straty czasu!

Kolumb poczekał chwilę, dopóki gwar gniewnych głosów nie umilkł i rzekł z mocą:

— Nie uczynicie tego, moi przyjaciele!

— Któż nam zabroni?

— Kto?... Ja! wasz admirał! wice-królem przez naszych miłościwych państwa mianowany!

— Wice-królem czego? — grubiańsko zaśmiał się Juan Martin — wielorybów i tuńczyków, któreśmy spotykali po drodze, czy tych zamulonych kęp zielska, które bieg naszych okrętów hamują?

— Zuchwały z ciebie żartowniś, Juanie Martin! — surowo zgromił majtka Krzysztof Kolumb. — Przebaczam ci jednak ze względu, że tchórzostwo niegodne mężczyzny cię opętało. Moi towarzysze! — łagodnie przemówił, zwracając się do załogi — jeżeli za trzy dni nie ujrzymy lądu, ha! wówczas daję wam słowo, wówczas zwrócimy do Hiszpanii. Przez te trzy jednak każdy z was niechaj sumiennie i gorliwie spełnia swoje obowiązki. Czy zgoda?



— Zgoda! — jednomyślnie odpowiedzieli marynarze.

Nie odszedł jeszcze admirał do swej kajuty, gdy od wschodu nadleciał ptak wielki — pelikan. Długo krążył nad Pintą, potem nad Niną, jak gdyby namyślając się gdzie spocząć; wreszcie zrobił w powietrzu kilka zawrotnych kręgów i przysiadł na maszcie karaweli Kolumba.

— To poseł radosnej nowiny, że ziemia blisko! To dobra wróżba! — szepczą pomiędzy sobą marynarze, gdyż ludzie owej epoki szczerze i gorąco pobożni, byli też niezmiernie za-bobonnymi zarazem.

— A wróżby one pojawiają się teraz ciągle. Patrzcie, oto na falach kołysze się laska ociosana, ba! nawet wyrznięta misternie. Kędyś blisko muszą być siedziby ludzi... Oto wiatr niesie zapachy cudne i orzeźwiające... z lądu one pochodzą; a jakże! skądżeby?... Oto stado małych, śpiewających ptaszyn... przecież i ten skrzydlaty drobiazg na stałym lądzie musi mieć swoje gniazdeczka...

Takich spostrzeżeń marynarze udzielają sobie nawzajem, a radość, nadzieja i otucha goszczą teraz w ich duszach.

Zapada noc z jedenastego na dwunasty października; księżyc jest w ostatniej kwadrze; firmament pogodny, ciemno-szafirowy, a na samym krańcu nieboskłonu, widać pas jeszcze ciemniejszy, aż prawie czarny, nierówny, jak gdyby wystrzępiony... czyżby to góry były bliskiego już lądu?

Na karawelach nikt nie ma ochoty do snu, czuwają wszyscy, o dziesiątej Krzysztof Kolumb wychodzi na pokład.

— Towarzysze, górą nasza! — przemawia wesoło — ufaliśmy Bogu i oto wszechmocna Jego ręka doprowadza nas do lądu. Kto z was pierwszy dostrzeże ziemię, temu dziesięć tysięcy marawidiów dożywotniej pensyi przyrzekam w imieniu króla jegomości; odemnie zaś aksamitny kaftan dostanie w podarunku... A na pierwszy okrzyk: „ziemia!” trzeba bić z armat co tchu! Hej! wiara! na Pincie i Ninie! słyszycie?

— Słyszycie, senior! i bodajbyśmy jaknajprędzej spełnić mogli wasz rozkaz, admirale!

Pinta, najmniejsza z Kolumbowej flotyli, przeto lekka i chybka wyprzedza Ninę i Santa Marię i o godzinie drugiej po północy, majtek Rodrigo de Triano, zwany także Juan Rodriguez de Bermejo, rodem z okolic Sewilli, silnym głosem, który naokół roznosią i powtarzają echa, woła:

— Ziemia!

Zaraz też z Pinty ozwał się wystrzał armatni, na który odpowiedzieli Nina i Santa Maria...

Karawele stanęły; zwinięto żagle. Krzysztof Kolumb zdecydował, że o świcie i do dowódcy Pinty i Niny, kapelan i komisarz królewski i Ludwik de Bobadilla z odpowiednim orszakiem wyruszą do lądu.

Czempredę zaczęto wydobywać chorągwie i sztandar, przygotować szalupy. Ponieważ nie wiedziano, których majtków admirał z sobą zabierze, więc ten i ów rozwiązywał swój węzełek, odmykał skrzynkę, aby wyjąć odświętną bluzę i nowy pas skórzany ze świecą klamrą. Bo jużćić, myśleli sobie: uczciwemu chrześcianinowi na obcą ziemię wypada wstąpić w odzieniu chędogiem; a może jeszcze miejscowy król, albo sam wielki Chan, przed swój majestat zawezwie podróżników z Europy przybyłych.

Wśród tych przygotowań, wśród tej krętaniny, niecierpliwie oczekiwany dzień nadchodzi... nadszedł wreszcie poprzedzony różową jutrenką, jasny od promienistego słońca... karawele stały naprzeciwko wyspy pełnej drzew, gajów, zieleńi i wonnego kwiecia...

— Przebacz, admirale! przebacz! tyś nas wiódł do odkrycia tej ziemi pięknej, a myśmy śmierci twej pragnęli, przebacz! — wołali marynarze schylając się do nóg Kolumba, całując jego ręce. On ich podnosił, upewniał, że nie chowa w duszy żadnej do nich urazy...

Niewiele tęgich uderzeń wioseł najdzielniejszych marynarzy z załogi karawel i szalupy przybiły do brzegów... Zarzucają kotwice. Admirał odziany w szkarłatny aksamit nie-

sie sztandar Hiszpanii... Alonzo i Wincenty Pinzonowie, niosą zielone chorągwie z krzyżami, a na odwrotnej stronie z inicjałami ich królewskich katolickich mości.

Na najbliższym pagórku admirał i dwaj dowódcy zatykają w ziemię sztandar i chorągwie, kapelan intonuje *Te Deum* którą to pieśń oprócz marynarzy tysiączne powtarzają echa... A potem komisarz królewski spisuje akt, że wyspa nowo odkryta przez admirała Oceanu Krzysztofa Kolumba, zostaje przyłączoną do-przeświewnych koron Aragonii i Kastylii.

(d. c. n.)

## PAJĄK MADAGASKARSKI.

Owad ten, noszący zoologiczną nazwę *Epeira nephila Madagascariensis*, służy miejscowym krajowcom za pokarm; prócz tego jest bardzo pożyteczny, gdyż tępi wiele robactwa, niszczącego rośliny.

Jeden z misjonarzy tamtejszych katolickich, pan Cambone, badając tego pająka przyszedł do przekonania, iż wysnwana przez niego pajęczyna, może służyć podobnie jak kokon jedwabnika, do przygotowywania przędzy bardzo pięknej, mocnej, delikatnej, i posiadającej jasno żółtą, złotawą barwę. Trzy uncje takich pajęczych nitki wystarczają na dwie pończochy albo na trzy pary rękawiczek.

W jesieni pająk madagaskarski przedzie kokon zawierający jego jajeczka. Zamiast jednak używać tej powłoczki gotowej, spróbowano wyciągać wprost pajęczynę z gruczołów, znajdujących się w odwłoku owada. W ten sposób zdołano otrzymać nadzwyczaj ciekłą i długą na cztery wiorsty nitkę i to z jednego tylko pająka. Nawijano ją na kołowrotek, obracany nadzwyczaj szybko za pomocą maszyny parowej.

Kilkadziesiąt kokonów rozplątanych na przędzę dało 1 gram materiału, równie dobrego jak i świeża pajęczyna.

Każdy łatwo zrozumie, że odkrycie to ma ważne znaczenie dla przemysłu i że pająk hodowany sztucznie mógłby, podobnie jak jedwabnik, dawać doskonały materiał na tkaniny, przewyższające dobrocią jedwabne.

Próbowano też hodowli tego owadu, sprowadzono do Francji jego jajeczka i czekano aż wyklują się z nich pająki. Udało się to w zupełności, owady jednak umieszczone w ogrodzie, zginęły po upływie pewnego czasu bez śladu: stały się zapewne zdobyczą ptaków i jaszczurek. Druga ich część trzymaną w pokoju wyzdychała do jesieni.

Nie zrażano się tem wcale i rozpoczęto na nowo doświadczenia, które prawdopodobnie przyprowadzą do pożądanego celu.

Jest więc nadzieja, że kiedyś będziemy mieli ubranie z pajęczyny, zamiast z jedwabiu.

## Tajemniczy Zamek.

(Dalszy ciąg).

### XV.

Przez kilka lat nic nie zakłócało spokoju, jaki panował w starem zamczysku, używajacem tak złej sławy, że mieszkańcy Werstu jednomyślnie odeń stronili. Wiedzano zresztą, że po śmierci ostatnich sług rodu zamek pustkami stoi, i nie zajmowano się nim wcale aż dopiero w dniu, w którym się nasze opowiadanie rozpoczyna, dalekowiedz pasterza Fryka pozwolił mu spostrzedz dym, wydobywający się z jednego z kominów. Od tej chwili uwaga wszystkich została zwróconą na zamek, a o następstwach jej wiedzą już czytelnicy.



Wtedy dopiero okazało się, jak dalece jest użyteczną komunikacja telefoniczna, dzięki której baron Gorc i Orfanik wiedzieć mogli wszystko, co się działo w Werscie. Drut telefoniczny uwiadomił ich o powziętym przez Nikona zamiarze udania się do zamku, za pośrednictwem też drutu dał się słyszeć niespodzianie w gospodzie ów groźny głos odradzający Nikonowi zamierzoną wycieczkę. Skoro zaś pomimo otrzymanego ostrzeżenia młody leśnik trwać nie przestał w zamiarze i ostatecznie wprowadził go w wykonanie, baron Gorc postanowił dać mu taką nauczkę aby mu raz na zawsze odeszła ochota do tego rodzaju zuchwałych przedsięwzięć.

Tejże nocy maszynerya Orfanika każdej chwili w stan czynny wejść gotowa, dała znać o swem istnieniu całym szeregiem zjawisk zdolnych rzucić postrach na całą okolicę; z wieży kaplicznej słyszeć się dały dzwony; płomienie ognia, w który wsypano sporą ilość soli morskiej rzucały daleko na okół lunę, której odbłask nadawał wszystkimu przerażającą, trupią siność; ściśnione powietrze wydobywało się straszliwym rykiem z paszczy syren, potężne reflektory rzucały sylwetki ohydnych poczwary, których wyobrażenie otrzymano przy pomocy fotografii; płyty ukryte w trawie rosnącej u podnóża muru i połączone z baterją, pochwyliły doktora za żelazem okute obcasy, aż nareszcie nagle wyładowanie elektryczności wytworzonej w baterjach laboratorium, przewróciło leśniczego w chwili gdy dotknął ręką łańcuchów zwodzonego mostu.

Słusznem tedy okazało się przypuszczenie barona Gorca, że po ukazaniu się tak nadzwyczajnych, a dla nikogo niewytłómaczonych zjawisk, po nieudanej wyprawie Nikona przestrach mieszkańców dosięgnie najwyższego stopnia. W istocie w promieniu dwóch mil naokoło, za żadne skarby świata nie odważyłby się nikt przystąpić do tajemniczego zamczyska, widocznie przez nadprzyrodzone istoty strzeżonego.

Rudolf Gorc mógł więc uważać się za zabezpieczonego przed natrętną ciekawością mieszkańców, gdy przybył do wsi Werstu Franciszek Telek.

W chwili właśnie gdy rozmawiając z Jonaszem i Kocem zadawał im pytania, dotyczące się zamku, drut telefoniczny przeprowadzony przez Nyad dał znać o jego obecności w gospodzie. Nienawiść barona do młodego hrabiego rozżarzyło przypomnienie wypadków przed laty w Neapolu zaszłych. Aż oto sam Franciszek Telek nie tylko znajduje się teraz we wsi, o kilka mil od zamczyska, lecz w obec zebranej starsziny wioskowej, wysławia nedoręczne ich zabobony, obala wiarę w nadprzyrodzoną zjawisk, których groza strzegła zamczysko od ciekawych, co więcej, obiecuje uprzedzić władzę w Karlsburgu aby się w sprawę tę wdała policja i wykazała całą bezzasadność krążących po okolicy bajek.

Postanowił zatem baron Gorc ściągnąć Franciszka Teleka do wnętrza zamku, a wiadomo nam już jakim tego dokazał sposobem. Głos Stilla, przyrządem telefonicznym przesłany do gospody „Pod królem Matyasem” skłonił młodego hrabiego do zboczenia z zamierzonej drogi po to, by do zamku się zbliżyć; ukazanie się śpiewaczki na platformie baszty wzbudziło w nim niepowsiagnioną chęć wejścia w obręb zamku, światło postawione w jednym z okien poprowadziło go do furtki, którą dla niego umyślnie otwarto. W tej krypcie elektrycznością oświetlonej, w głębi której słyszał ów głos, do głębi serca jego przenikający, w czterech ścianach tej wię-

ziennej celi, gdzie zaopatrywano go w żywność wtedy, gdy spoczywał snem letargicznym zjęty, w tej podziemnej norze zamczyska ukrytej, Franciszek Telek zupełnie się znajdował w mocy barona, a baron liczył też na to, że nigdy go z mocy swej nie wypuści.

Takimi więc były skutki tajemniczego współpracownictwa Rudolfa Gorca i Orfanika. Gryzła tylko jeszcze barona wiadomość, że Rocko, który nie towarzyszył swemu panu do wnętrza zamku uprzedził o jego zniknięciu władze w Karlsburgu. Oddział agentów przybył na jego wezwanie do Werstu i zagrażał baronowi wtargnięciem w mury zamczyska. Niepokojem przejmowała barona myśl, jak w dwóch z Orfanikiem odeprzeć zdołają liczny oddział? Środki, których używali tak skutecznie przeciw doktorowi i leśniczemu, niedostatecznymi się okazały, policja bowiem nie uwierzy w czartowskie pośrednictwo w tej sprawie. Postanowili też obaj zburzyć zamczysko ze szczętem i wszystko przygotowawszy, czekali tylko chwili w której zamiar wykonać im przyjdzie.

W pogotowiu już mieli prąd elektryczny, służyć mający do podłożenia ognia pod dynamitowe naboje zakopane pod basztą, pod bastyonami narożnymi, pod starą kaplicą, cały zaś ten przyrząd tak obmyśliłi przezornie, że wprowadziwszy go w działanie mogli jeszcze obaj uciec tunelem wychodzącym na wąwóz Wulkanu. Ofiarą wybuchu paść miał młody hrabia zarówno jak i ci, którzy z nim razem wedrą się na mury zamku; dwaj zaś wspólnicy zbrodni obiecywali sobie uciec tak daleko, że nikt nigdy śladów ich nie odnajdzie.

To, co z rozmowy ich usłyszał, wyjaśnił poniekąd Franciszkowi zjawiska, o których ukazywaniu się słyszał. Wiedział już teraz, że istnieje komunikacja telefoniczna pomiędzy zamczyskiem górskim a wsią Werst, Nyadem przedzieloną od podgórzem; i to również wiedział, że zamek runąć ma w gruzy, że przysposobioną już katastrofę życiem przypłaci i on i agenci przez Rocka sprowadzeni z Karlsburga. Wiedział i to wreszcie, że baron Gorc i Orfanik będą mieli czas uciec, zapewne uprowadzając ze sobą Stille!

Ach! dlaczego nie może Franciszek przemocą wtargnąć do kaplicy i rzucić się na tych dwóch ludzi? Powaliłby ich na ziemię, obezwładnił, pozbawił możliwości szkodenia dru-

gim, zapobiegł mającej nastąpić katastrofie!

Lecz to, co w tej chwili jest niemożliwym, przestanie być niem może po odejściu barona. Gdy obaj z Orfanikiem kaplicę już opuszczają, Franciszek rzuci się ich śladem, pogoni za nimi i przy Bożej pomocy zdoła może sprawiedliwość sobie wymierzyć.

Baron i Orfanik znajdowali się już teraz niedaleko wielkiego ołtarza. Franciszek nie spuszczał ich z oka. Którędy wyjdą? Czy drzwiami wychodzącymi na jeden z dziedzińców wewnętrznych, czy też na jaki z wewnętrznych korytarzy, które łączyć musiały kaplicę z basztą; zdawało się bowiem, że wszystkie budowle zamczyska połączone są z sobą. Mniejsza jednak o to — myślał młodzieniec — byle tylko nie napotkać nie dającej się przebyć przeszkody.

W tejże chwili baron i Orfanik znowu wszczęli rozmowę.

— Nic już tu nie masz do zrobienia?

— Nic.



PAJĄK MADAGASKARSKI.



- A zatem rozstańmy się.  
 — Obstajesz więc pan przy swoim? chcesz, żebym cię zostawił w zamku samego?  
 — Tak. Ty zaś, Orfaniku, wyjdiesz natychmiast tunelem na wążów wychodzącym.  
 — A pan, baronie?  
 — Ja w ostatniej dopiero chwili zamek opuszczę.  
 — Mam zatem czekać na pana w Bistric?  
 — Tak.  
 — Pozostań więc sam, baronie Rudolfe, skoro chcesz tego...  
 — Tak... zostanę... Chcę bowiem słyszeć ją jeszcze,

dał jej rękę, rzucił kilka srebrnych monet na stół i wyszedł z pokoju, nie rzuciwszy nawet okiem na oberżystę, który stał jak skamieniały.

Tak więc zakończyła się bytność owych gości, którzy mieli okryć go sławą!... Całe miasto wiedziało z ust jego o tej nowinie... przed całym światem radby był pochlubić się zaszczytem, jaki go spotkał, a teraz... Oto na stole stoi nieknięta pieczeń, którą sam tak starannie przyrządził.. w spiżarni czeka na półce legumina, która miała stanowić koronę jego sztuki kucharskiej... a gość, na cześć którego tyle trudów poniesiono, opuścił zakład...

Nie dosyć na tem. Pan Walzer nie kazał zaprzęgać,



KOLUMBOWE OKRĘTY.

słyszeć ją raz ostatni podczas tej nocy... ostatniej, którą w starym zamku przepędzam!

Chwilka jeszcze i wkrótce baron wraz z Orfanikiem opuścili kaplicę.

Jakkolwiek żaden z nich nie wymówił w rozmowie imienia Stilli, zrozumiał jednak Franciszek, że o niej to mówił przed chwilą Rudolf Gorc. (d. c. n.)

## SZTUKA CZY RZEMIOSŁO

Z NIEMIECKIEGO.

(Dalszy ciąg).

Ogłuszony chłopiec podniósł się z ziemi. Pani Walzer błada ze wzruszenia, pocieszać go zaczęła, gdy wtem mąż po-

nie wyruszył w dalszą drogę, ale w oczach osłupiałego oberżysty przeszedł wraz z żoną i służbą na drugą stronę gościńca i zniknął we drzwiach oberży „Pod Kogutem”.

Wszystko zatem skończyło się bezpowrotnie, a wielki dzień spodziewanego tryumfu zadał sercu pana Habermana dotkliwą ranę, którą czas tylko zabiłżnić może zdoła. Odszedł od okna starając się zapanować nad sobą, aby spełnić obowiązek gospodarza względem innych gości, którzy dotąd napróżno czekali na mięso, bo Hubert niepostrzeżenie wysunął się z izby. Całą siłą woli pan Haberman stłumił gniew miotający jego sercem i poszedł do kuchni. Nigdy jeszcze codzienna praca nie wydała mu się równie ciężką jak dzisiaj, gdy obojętny na pozor musiał dalej usługiwać gościom i słuchać ich zachwyty nad sztuką i sztukmistrzami

Tymczasem Hubert leżał w swej izdebce z głową ukrytą w poduszkach i szlochał głośno. Serce z bólu pękało mu w piersiach. Nieraz już znosił niezasłużony gniew i kary,



stokroć cięższe od popełnionego przewinienia, nieraz bywał łajmany wobec gości, ale dzisiaj kara tak surowa i niezasłużona, bo ojciec sam wytrącił mu półmisek z ręki, sprawiała mu boleść niewypowiedzianą. Łzy strumieniem płynęły mu po twarzy, spazmatyczne łkanie wstrząsało piersią. Uspokoił się wreszcie, obtarł oczy i przypomniawszy sobie rozmowy z Fryderykiem Kleinem, otworzył otrzymaną od niego książkę, aby w modlitwie szukać pociechy.

Pan Haberman znosił piekielne katusze do chwili, w której goście skończywszy obiad, opuścili obojętę. Wtedy dopiero odetchnął z głębi piersi. Podobnie jak wielu ludzi, działając pod wpływem uniesienia, nie zastanawiał się nad tem, że znaczna część winy na nim spoczywa. Zapatrując się na całe to zajście jednostronnie, nie rozumiał, że gwałtowność jego jest jedyną przyczyną stłuczenia półmiska, zmarnowania pieczeni i wszystkich smutnych następstw tego faktu; przeciwnie, głęboko był przekonany, że wszystko to stało się z winy Huberta, który nie dbał ani o sławę ojca, ani o honor oberży „Pod Dzwonem” i niedołęstwem swem wtrącił go kiedyś w przepaść ruiny. Takie myśli zajmowały jego umysł, gdy szedł zwolna po wąskich schodkach, prowadzących do izdebki syna. Gwałtownie szarpnąwszy drzwi stanął na progu. Hubert siedział pod oknem zatopiony w czytaniu.

— Co widzisz! — krzyknął pan Haberman. — Zamiast pójść do kuchni zmywać talerze, tracisz czas na czytaniu książek, z których ci nic nie przyjdzie.

— Chciałem się pomodlić, ojczu — nieśmiało odrzekł Hubert.

— Nie czas teraz na modlitwy! Oddaj mi tę książkę.

Hubert niechętnie spełnił wolę ojca, który porwawszy książkę wyciągnął rękę zamierzając wyrzucić niepotrzebną bibułę za okno. Przekonawszy się, że to istotnie książka do nabożeństwa, zmienił zamiar i położył ją na stole.

— Wynoś się do kuchni! — zawołał szorstko.

— Ojczu! — rzekł Hubert, siłąc się na spokój i odwagę — oddawna już chciałem z tobą pomówić. Nigdy nie mogę ci dogodzić, nie umiem usługiwać gościom, pozwól mi iść w świat.

— Co! — wykrzyknął pan Haberman przerażony taką zuchwałością syna.

— Pozwól mi iść w świat, ojczu — śmielej już powtórzył Hubert — nauczę się jakiego rzemiosła i będę pracował na kawałek chleba.

— A więc i tobie te głupie gadania przewróciły w głowie? Ani mi się waży wspominać o tem! Będziesz siedział w domu i pilnował porządku, czy rozumiesz?

— Ojczu, ja pójdę w świat! — błagalnie nalegał Hubert.

— Idźże sobie niegodziwcze, zakało mego domu! — wrzeszczał pan Haberman. — Idź sobie, nie chcę cię znać ani wiedzieć o tobie!

To powiedzawszy wyszedł z izdebki, Hubert nie starał się go zatrzymywać, czuł, że pękły ostatnie więzy łączące go z ojcem, że nigdy pozwolenia nie uzyska i bezgraniczna rozpacz oładnęła jego sercem. Po długim namyśle postanowił opuścić ten dom, w którym czuł się tak samotnym i rozpocząć życie o własnych siłach. Z pośpiechem zebrał trochę bielizny, którą związał w węzełek, nie zapomniawszy także o książce do nabożeństwa. Zszedłszy ze schodów zatrzymał się przed drzwiami od głównej izby. Łzy stanęły mu w oczach. „Spróbuj raz jeszcze, czy ojciec nie da się przebłagać — pomyślał — A jeżeli nigdy go już nie zobaczę?... jeżeli umrę na obczyźnie?...” Położył już rękę na klamce, wnet jednak ją cofnął. „Nie! — rzekł z westchnieniem — daremniebym prosił i błagał! ojciec nigdy nie pozwoli.” Odwrócił się i tłumiąc łzy cisnące mu się do oczu, poraz ostatni przestąpił próg rodzicielskiego domu.

Krawiec Krempel siedział sam w swoim warsztacie. Staruszek od kilku dni był w niezwykle dobrym humorze, nikt bowiem nie proponował mu roboty sukien aksamitnych i jedwabnych. W tej chwili stał przy stole spinając czarne sukno drewnianymi patyczkami (których używano przed wyna-

lezeniem szpilek) gdy nagle dało się słyszeć kilkakrotne stukanie do okna. Podniósłszy głowę, spostrzegł Huberta, który stojąc na ulicy dawał mu znaki, że pragnie z nim pomówić.

— Co to jest? co ci się stało? — zapytał Krempel otwierając okno — czy masz jakie zmartwienie? może mógłbym w ciemności ci pomóc?

— Przychodzę pożegnać się z wami — odrzekł Hubert — chciałem raz jeszcze was zobaczyć, zanim odejdę stąd na zawsze.

— Opuszczasz nas? a to dlaczego? — z niepokojem dopytywał się krawiec.

Hubert opowiedział w krótkich słowach treść swego zajścia z ojcem.

— I nie lękasz się iść sam między obcych, nieznanymi ci ludźmi?

— Nie, panie, mam nadzieję, że Bóg mnie nie opuści.

— A masz pieniądze na drogę?

— Nie — nieśmiało odrzekł Hubert, któremu nie przyszło dotąd na myśl, że rusza w świat bez grosza.

— Weź — że to odemnie i niech cię Bóg błogosławi.

To mówiąc, poczciwy krawiec wsunął chłopcu w rękę sporą sakiewkę i odwrócił się aby ukryć ogarniające go wzruszenie. Całym sercem litował się nad dolą biednego, samotnego chłopca.

Hubert poszedł znaną sobie drogą na cmentarz, pożegnał ze łzami mogiłę matki i wyszedł poza miasto. Stanąwszy na wzgórku odwrócił się raz jeszcze aby ostatniemi spojrzeniem pożegnać szare domy i wieżę kościelną, strzelającą w górę ku niebu. Noc już zapadała gdy dochodził do pobliskiej wioski i położył się w polu na stogu siana, a nazajutrz o świcie ruszył w dalszą drogę.

### III.

#### WĘDRÓWKA.

Wiatr huczał przeraźliwie w gęstym lesie; drzewa chwiały się i ugiwały pochylając ku ziemi zielone korony; na dole zupełna ciemność już panowała, chociaż zachodzące słońce rzucało jeszcze złotawe blaski na wierzchołki dębów i sosen. Wąską ścieżyną wijącą się przez las wolnym krokiem szedł młody podróżny. Widocznie zbłądził on musiał, bo rozglądał się w około, szukając gościńca lub też jakiego schronienia, w którym by mógł noc spędzić. Niemiłego doznawał pewnie uczucia, znalazłszy się o zmroku w nieznanym lesie, nie wiedząc, w którą stronę się zwrócić. Samotność rodzi obawę; zupełne odosobnienie od ludzi niepokojem przyjmuje serce; mimowoli zdaje się wtedy podróżnemu, że z poza każdego drzewa czyha wróg lub rozbójnik, a szelest liści brzmi w uszach jak jęk przeraźliwy. Wszystkie te obawy rozwiewają się jednak w mgnieniu oka, skoro dostrzeże w oddali migoczące światło i zbliżywszy się doń ujrzy dom przez ludzi zamieszkały. Podobne myśli zajmowały owego wieczoru umysł Huberta! on to bowiem był tym zbłąkanym podróżnym. Przeważony ciemnością i przykrem swym położeniem długo błądził po lesie, aż wreszcie na zakręcie ścieżki ujrzął w oddali światło i domek niewielki. Pomimo zmęczenia przyśpieszył kroku i stanąwszy wreszcie przed domkiem nieśmiało do drzwi zapukał.

Zrazu głośnie oczekiwanie było jedyną odpowiedzią, potem dały się słyszeć ciężkie kroki i jakiś gruby głos zapytał:

— Kto tam?

— Podróżny, którego noc zaskoczyła w lesie — odpowiedział Hubert.

— Czy sam jesteś? — zapytał tenże głos.

— Sam.

— No, to wejdź — że odpocząć.

Drzwi otwarły się na oścież i Hubert stanął na progu niewielkiej izdebki, która na pierwszy rzut oka bardzo miło sprawiała wrażenie. Przy blasku ognia płonącego na komini nie widać było połyskujący czystością duży stół sosnowy i ciężkie, niezgrabne krzesła stojące na środku izby.



— Kto jesteś i skąd cię Bóg prowadzi? — zapytał mieszkaniec tego domku przyglądając się podróżnemu, który stał przy drzwiach, nie śmiejąc podejść bliżej ani usiąść.

— Idę z Erfurtu — odparł Hubert spoglądając nieśmiało na wysoką, rosłą postać mężczyzny, który musiał być węglarzem, jak o tem świadczyły twarz jego i ręce powalane sędzą.

— Wielki Boże! — zawołał węglarz — niemało drogi przeszedłeś!

— Wyszędłem z domu przed kilkoma tygodniami.

— A dokądże idziesz? Masz pewnie jakiś cel przed sobą, bo wydajesz mi się za młodym na czeladnika, odbywającego wędrówkę.

— Idę do Wittembergi — odpowiedział Hubert.

— Jezus Marya! — wykrzyknęła młoda kobieta, która przed chwilą weszła do izby — i skąd-że się wziąłeś w tym lesie?

— Czy ty nie kłamiesz? — surowo zapytał węglarz.

— Nie, panie, idę do Wittembergi, do mojego przyjaciela złotnika Kleina i do pana Łukasza Cranach, którego choć proszę, aby mnie uczył malarstwa.

— Złą drogę wybrałeś, mój chłopcze! — ze śmiechem zawołał węglarz.

— Dlaczego? — z przerażeniem spytał Hubert.

— Dlatego, że zamiast iść w stronę zachodnią poszedłeś na południe, i że teraz jesteś równie daleko od Wittembergi jak gdybyś nie był wyszedł z Erfurtu.

— O Boże! — z rozpaczą zawołał Hubert.

— Czyż nie masz rodziców, którzyby ci wskazali drogę? — ze współczuciem spytała węglarka, odbierając młodemu wędrówcowi kij i zapraszając go by usiadł.

— Matka moja nie żyje — z westchnieniem odrzekł Hubert.

— A ojciec? — przerwał węglarz. — No, zresztą nie mam ja zwyczaju zarzucać nikogo pytaniami — dodał spostrzegłszy, że twarz Huberta spłonęła żywym rumieńcem — przenocujesz u nas, mój chłopcze. Całem sercem jesteśmy ci radzi, a jeżeli jutro rano zechcesz iść dalej, sam ci pokażę drogę do miasta.

— Do jakiego miasta? — zapytał Hubert.

— Do Augsburga — odrzekł węglarz. — Szkoda by było, żebyś nie skorzystał ze sposobności poznania tego miasta, które leży stąd o pół mili zaledwie.

— Jakto? jestem koło Augsburga? — wykrzyknął Hubert.

— Naturalnie — odrzekła węglarka stawiając na stole dzbanek mleka i bochenek chleba — czyżes ty naprawdę nie wiedział gdzie jesteś?

— Nie wiedziałem — odrzekł Hubert. — Prowadził mnie mój towarzysz podróży i teraz dopiero widzę, że mnie rozmyślnie oszukał.

— Jak-że to było? Opowiedz nam, co cię spotkało — serdecznie nalegała węglarka.

— W kilka dni po wyjściu z Erfurtu zabłąkałem się po raz pierwszy i nie wiedziałem, jaką drogą iść do Wittembergi. Wtedy spotkałem jakiegoś wędrówca, który mi powiedział, że idzie także do tego miasta i przyrzekł mi prowadzić.

— Ho! ho! znam ja takich ptaszków! Zaręczam, że cię okradł w drodze.

— Nie, panie — odrzekł Hubert — sam chętnie dzieliłem się z nim każdym groszem, bo miło mi było mieć towarzysza. Teraz dopiero rozumiem dlaczego mnie zawsze ostrzegał, ażebym z nikim nie wdawał się w rozmowy i dlaczego opuścił mnie dziś rano mówiąc, że chce odwiedzić starą ciotkę mieszkającą w pobliskiej wiosce.

— To łotr! — wykrzyknął węglarz, uderzając pięścią w stół — widocznie sam szedł do Augsburga i oszukał cię w nadziei, że będziesz płacił za niego nocleg i jedzenie.

— Odchodząc dziś rano powiedział mi, że z pewnością trafię sam do Wittembergi, która leży tuż za tym lasem i ka-zał mi czekać tam jutro na siebie.

— No! to cię wywiódł w pole! — zawołał węglarz.

— Widocznie niewiele miałeś z ludźmi do czynienia i nie wiesz jak się wystrzegać oszustów — dorzuciła węglarka pieśczołtliwie głaszcząc chłopca po głowie.

Przyznając w duchu słuszość tym słowom, Hubert umilkł zawstydzony. Snując rozkoszne plany przyszłości szedł on prosto przed siebie, ani razu nie zapytał nikogo o drogę i w zupełności polegał na swym towarzyszu podróży. Najwięcej radości sprawiała mu myśl zobaczenia znowu Fryderyka Kleina; cieszył się także nadzieją, że Łukasz Cranach przyjmie go do pracowni, i że pod kierunkiem takiego mistrza sam stanie się kiedyś znakomitym malarzem. Oczywiście wyobraźni widział już stworzone przez siebie obrazy, marzył o sławie i zaszczytach, a stawiając tak piękne zamki na drodze zapomniał o najpierwszym warunku dojścia do upragnionego celu i straciwszy tyle tygodni, ani na krok się do niego nie zbliżył.

— Nie martw-że się tak, mój chłopcze — pocieszała go węglarka. — Wszystko da się jeszcze naprawić. W Augsburgu nie znajdziesz wprawdzie żadnego z twoich przyjaciół, ale nie brak tam poczciwych ludzi, którzy ci chętnie przyjdą z pomocą.

— Więc i tu mógłbym się nauczyć malarstwa? — z radością zawołał Hubert.

— Być może — odparła kobieta — ale teraz pomyśl przedewszystkiem o tem, aby się posilić i wyspać porządnie a jutro...

— Jutro — dokończył węglarz — wyprowadzę cię na gościniec, skąd już sam będziesz mógł ruszyć w dalszą drogę.

Rozmowa urwała się i wszyscy z wielkim apetytem zabrali się do spożywania wieczerzy. Nagle dało się słyszeć gwałtowne stukanie do drzwi; z zewnątrz dolatywały grzmiące głosy domagające się wpuszczenia do domu i grożące wysadzeniem drzwi w razie oporu.

— Boże! zlituj się nad nami! — zawołała węglarka z łamując ręce — to pewnie chłopci. \*)

— Tak! to ta banda darmozjadów, próżniaków, którzy włóczą się po kraju zakłócając spokój porządnym ludziom — z gniewem odrzekł węglarz i powstawszy z za stołu poszedł otworzyć drzwi.

W mgnieniu oka wpadło do izby sześciu silnych, barczy- stych ludzi uzbrojonych w krótkie piki. Najwyższy z nich, który wydawał się wodzem, zawołał grzmiącym głosem.

— Jeść i pić nam dajcie! Wyjmijcie ze spiżarni co macie najlepszego, tylko nie każcie nam czekać bo porąbamy wam stoły i ławy i podpalimy dom ze wszystkich czterech rogów.

Z temi słowy rzucił na stół czerwoną czapkę, podczas gdy jego towarzysze złożywszy piki na podłodze zasiedli w około stołu i nie czekając zaproszenia pożerali łapczywie resztki wieczerzy.

(d. c. n.)

## ROŚLINY POKOJOWE.

Hudowla roślin doniczkowych przedstawia może naj- więcej przyjemności, gdyż na malej przestrzeni skupić można rośliny wszystkich stref; lecz z drugiej strony wymaga też najwięcej mozolnej pracy i bezustannej uwagi. Niech jeden

\*) W 1525 r. wybuchła w Niemczech t.zw. *chłopska wojna* tj. powstanie chłopów niemieckich. Niektórzy ze szlachty np. Götz von Berlichingen stanęli na czele chłopów, którzy domagali się wolnego obioru proboszczów, zniesienia pańszczyzny i kary śmierci, oraz zaprowadzenia bezstronnego wymiaru sprawiedliwości. W wojnie tej obie strony walczące dopuściły się wielu nad- użyć i okrucieństw. Zbrojne gromady chłopów nazywano *lands- knechtami*.



raz zajmująca się nią panienka zapomni we właściwej porze podlać, przewietrzyć lub zacienić, a cała praca może uleść zniszczeniu.

Ziemia jest głównym źródłem, z którego wszystkie rośliny ciągną swój pokarm. Dlatego też dobry wzrost rośliny wiele zależy od właściwej ziemi. Niektóre udają się prawie w każdej ziemi, jak fuksye, pelargonie szkarłatne i t. p. By zadość uczynić wymaganiu każdej rośliny, potrzebne są następujące gatunki ziemi: dobrze odleżała glina, darniowa ziemia, powstała z przegniłej darniny; liściowa, z opadłych przegniłych liści; gnojowa, z przegniłej mierzwy; wrzosowa czyli leśna, to jest wierzchnia warstwa z lasów iglastych, gdzie rosną wrzose, lub też powstała z przegniłego mchu bagnistego. Torfowej ziemi, która dla niektórych roślin z dobrym skutkiem używaną być może, nie trzeba brać z miejsc, gdzie rosną turzyce i sitowie, bo ta jest do hodowli roślin nieprzydatna. Oprócz tego zbierać należy wszelkie odpadki, jako to: zielsko, starą ziemię pozostałą po przesadzeniu roślin i t. p.; z nich bowiem powstaje tak zwana ziemia kompostowa, używana szczególnie dla roślin zielnych. Kompost, jak również darniową, gnojową i liściową ziemię, należy przynajmniej dwa razy do roku przerobić (przekopać łopata), by wszystkie warstwy wystawione były na wpływy atmosferyczne. Piasek, który domieszczamy do każdej ziemi, by ją uczynić przepuszczalną, trzeba wybierać gruboziarnisty — jeżeli można rzeczny. Drobnny polny piasek nie jest tak dobry, przez przepłókanie jednak i usunięcie w ten sposób drobnych ziarek można go polepszyć.

Przy mieszaniu ziemi musimy zważać na warunki, w jakich roślina, dla której ziemia jest przeznaczona, dziko rośnie, i tak np. maranty pochodzą z ciepłych stref południowej Ameryki, gdzie rosną w bagnistych i cienistych lasach — a zatem będziemy je hodowali w cieplarni, w torfiastej ziemi stosunkowo wilgotnej; w lecie będziemy je oceniali i skrapiali liście wodą. Przeciwnie kaktusy, które poczęści także z tamtych stron pochodzą, lecz rosną na otwartych, nieurodzajnych miejscach, należy wystawiać w lecie na dwór na słońce, mało podlewać i sadzić w piaszczystą i cięższą ziemię. Dziko tamże rosnące storczyki, które ciągną swój pokarm nie z ziemi, lecz z powietrza, czepiając się korzeniami gałęzi drzew, sadzą się w mech bagnowy i przyczepiają do kawałków pni drzewnych lub torfu, albo też wsadza się w przedziurawione miski i drewniane koszyczki, aby korzenie łatwo na wierzch wydostać się mogły i wieszają się blisko okien im grubsze roślina ma korzenie, tem cięższej, bardziej gliniastej potrzebuje ziemi, im cieńsze, tem lżejszej, bardziej wrzosowej.

Przesadzać rośliny trzeba wtedy, gdy korzenie zarosły wewnętrzną ścianę doniczki, co przy roślinach zielnych i bujnie rosnących kilka razy do roku ma miejsce; przy roślinach wolniej rosnących, raz tylko. Starsze rośliny rzadziej potrzebują przesadzania, niż młode, i tak: stare rośliny w kublach drewnianych przesadzają się co kilka lat. Przesadzanie odbywa się z wiosny i w lecie; w jesieni i w zimie większa część roślin wcale lub bardzo słabo rośnie — dla tego też w tej porze nie przesadza się, wyjąwszy popielniki, pantofelniki.

Przed przesadzeniem należy poruszyć kłąb korzeniowy, by korzenie przędzy i łatwiej mogły wrastać w świeżą ziemię.

U roślin zielnych i w ogóle obfitujących w korzenie, obcina się ich końce. Korzenie Azalii, Rhododendronów i t. p. tworzą rodzaj włóknistej tkanki, którą należy obciąć, nie poruszawszy zresztą bryły. Grubokorzeniowe rośliny, jak np. palmy, przesadza się bez uszkodzenia korzeni. Dla zdrowych roślin należy wybierać stosunkowo większe doniczki; tylko chore rośliny, z nadpsutemi korzeniami, sadzą się w mniejsze lub też same doniczki, aby mogły ziemię zużytkować — gdyż nadmiar ziemi pociąga za sobą wolniejsze jej wysychanie, przez co ziemia kwaśnieje, a rośliny jeszcze bardziej cierpią. Z tego powodu nie trzeba używać stosunkowo zbyt wielkich doniczek dla roślin wolno rosnących. Dla łatwiejszego ścieku zbywającej wody przykrywamy dziurkę na dnie doniczki skorupą, aby otwór ten nie mógł się zamulić; dla delikatniejszych roślin przysypujemy ją nawet tylko piaskiem, podlewać trzeba wtedy, kiedy ziemia wyschła. Ale wtedy już należy dobrze podlać, żeby ziemia przemokła; szczególnie należy zwracać uwagę na to po przesadzeniu. Jeżeli przy pukaniu o zewnętrzną ścianę doniczki daje się słyszeć odgłos dźwięczny, wówczas ziemia jest sucha, a zatem roślinę podlać należy; jeżeli odgłos jest głuchy, wówczas ziemia zawiera jeszcze dosyć wilgoci. Przy starszych roślinach, w kublach, blade kolor ziemi na powierzchni i pozorna jej suchość, szczególnie w lecie podczas dni słonecznych, nie powinny nas łudzić: spodnie warstwy mogą być jeszcze dostatecznie wilgotne — a zatem w każdym razie trzeba zbadać stopień wilgoci, podług wyżej podanego sposobu. Za silne wyschnięcie jest szkodliwe, gdyż ziemia traci swoją własność włoskowatość, przez co woda przecieka tylko, a ziemia pozostaje suchą. Zbytek wilgoci powoduje skwaśnienie ziemi i zgniliznę korzeni. Z tego wynika, że nie trzeba przekraczać granicy ani z jednej, ani z drugiej strony.

Prócz polewania ziemi, należy skrapiać liście roślin podczas lata w dni słoneczne.

Czyszczenie z pyłu i robactwa jest niezbędne, jeżeli dbamy o dobry wzrost naszych roślin.

Zwracać szczególnie należy uwagę na dwóch prawie niewidzialnych nieprzyjaciół, których tak często napotykamy na roślinach, a którzy niezmierne zrzadzają w nich szkody: Czerwone pajęczki i czarne muszki. Skutecznym środkiem dla ich wytepienia jest mycie roślin rozpuszczonym szarem mydłem lub odwarem ze zwyczajnego tytoniu.

## ROZWIĄZANIA DO N-ru 42-go

Szarady: My — ce — ny.

LamigłóWKi:

W O J T G H T T Ś T K T P D D  
i w a r a e r a ł a a y r a r  
g o ł a b k a p o c z t o w a  
r c t b k l c i w y a a c i w  
y e a a a z r o t n n a d a

### PRENUMERATA WYNOŚI:

W WARSZAWIE rs. 4, na prowincyi w kraju i zagranicą rs. 5 — stosownie do tej ceny półroczna i kwartalna.

Biuro Redakcyi, ulica Mazowiecka Nr. 10 nowy.

TREŚĆ: Na mogile, wiersz p. T. P. (z drzew.) — Do ziemi nieznaney p. Halinę Tokarzewską (z drzew.) — Pająk madagaskarski (z drzew.) — Tajemniczy zamek. — Sztuka czy rzemiosło, z niemieckiego. — Rośliny pokojowe. — Dodatek: Dobranoc, wiersz p. T. P. — Słomki, p. Maryę Weryho (z drzew.) — Balik dziecinny, komedyjka w jednej odstonie. — Przygody Iskierki, Perelki i Brylaucika. — LamigłóWKi i rozwiązania. — Skrzynka do listów. Dodatek książkowy: W krainie Gwebrow, Audrzejka Laurie, przekład T. P.



# WIECZORY RODZINNE.

## DOBRANOC.

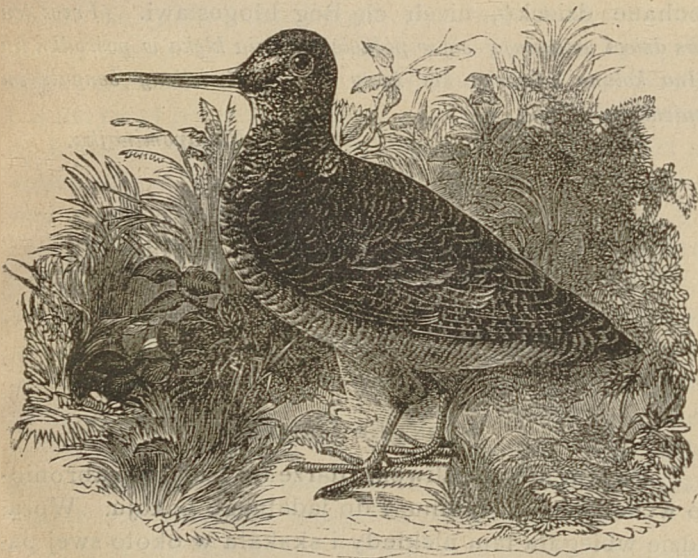


chowało się słonko w borze,  
— Spać, dzieci! spać o tej porze!  
Zapadło słonko za lasy,  
— Spać dzieciom już o te czasy...  
Miesiączek na niebie świeci,  
— Spać! do łódeczka już, dzieci!  
Gwiazdy płoną jak pochodnie,  
— Spać! w łódeczku tak wygo-  
[dnie!

Powoje kielichy stuliły,  
— Spać, dzieci! sen taki miły!—

Trawy stoją w ros kąpieli,  
— Spać na bieluchnej pościeli!  
Wśród drzew w ogrodzie wiatr wzdycha...  
— Spać, dziatwo! pacierz mów, cicha,  
Ojczenasz, Zdrowaś i Wierzę...  
Snu dzieci Pan Jezus strzeże.

T. P.



## SŁONKA.

Wśród dużego lasu mieszka słonka. Ma ona swoje mieszkanie w małym dołku pod krzakiem. Nie zbyt kowne, co prawda, ale porządne i obszerne, w środku suchymi liśćmi wystłane.

W pokarmie nie jest ona wybredna: idzie do błota, wsuwa swój długi dziób i szybko wyławia robactwo. A czasem odnajdzie stos zgniłych liści, bardzo się wtedy ucieszy. Wie bowiem dobrze, że pod nimi roje owadów siedzą. Rozgrzebuje więc suche liście, dziób jej służy za

łopatę i pożywia się wtedy doskonale. Dowiedziały się o słońce ptaki drapieżne i nuż ją szukać. Obleciały las cały, słonki nigdzie nie znalazły. Czatowały na wysokich drzewach, ale słonka się nie pokazała, i z niczem drapieżniki odlecieć musiały.

Myśliwy również wiedział, że mięso słonki choć jest czarne, ale smaczne. Nie namyślając się długo, fuzyę na plecy przewiesił i do lasu powędrował.

Chodzi jedną godzinę, chodzi drugą, nie może słonki napotkać. Już dwa bekasy zabił, kaczkę dziką podstrzelił, a słonki nie widział.

— Co u licha — myśli strzelec zniecierpliwiony — czy ona nigdy z gniazda nie odlatuje?

Oj odlatuje, odlatuje, i to na długo, tylko myśliwy nie wie kiedy.

Jest to tajemnica słonki.

A jeżeli czytelnik obiecać mi może, iż nie powie o tem ani ptakom drapieżnym, ani myśliwemu, w takim razie ją wyjawię. Po zachodzie słońca, kiedy wszystkie ptactwo do spoczynku się zabiera, a myśliwy spokojnie wieczerę zajada, słonka zrywa się z miejsca, wzbija się ponad drzewami i lata na wszystkie strony, nawet od czasu do czasu gwizdże po swojemu a jak się zupełnie ściemni, wraca do swego dołku.

To samo robi nad ranem, przed świtem jeszcze. Nim się inne ptaki obudzą, słonka już obleci las wokoło. Zato dzień cały siedzi przy gniazdku swoim.

Tylko jeszcze raz proszę was, mili czytelnicy, zachowajcie tę tajemnicę, boby słonka nie uchroniła się przed swemi nieprzyjaciołmi.

Marya Weryho.

## BALIK DZIECINNY.

Komedyjka w jednej odstawie  
dla Grażynki i Tereni W.

(Dokończenie).

### SCENA III.

ROMCIO. Doprawdy, dziwna ta Aúdzia, ja zacząłbym wątpić o tem, żeby miała przejeść pieniądze, ona nigdy łakomą nie była.

KAZIA. Ale ja tam wcale nie wątpię, po cóżby posyłała teraz do miasta?...

TADZIO. Z pewnością po jakieś łakocie!

STASIA. W każdym razie, jeżeli dziś powie mamie, to się dowiemy prawdy.

ROMCIO. Ale rozważcie tylko, ona powiedziała: „zaręczam mamie, że nic złego nie zrobiłam z pieniędzmi.”

KAZIA. No, to cóż z tego, mogła tak powiedzieć, bo przecież wydać pieniądze na łakocie, nie jest znów nic tak złego.



ROMCIO. Mnie się zdaje, że to jest bardzo źle, tembardziej, jeśli się to robi pokryjomu przed rodzeństwem.

TADZIO. E! jest nad czem głowę suszyć, dowiemy się dzisiaj wszystkiego od mamy i kwita.

STASIA. No, jeżeli prawdziwie się domyślamy, będzie ona miała za swoje! Nigdy inaczej nie powiem na nią tylko: „samolubna”.

TADZIO. Ja ją będę nazywać łakomczuchem (*wchodzi Andzia*).

AŃDZIA. Panowie bracia, mama powiedziała, żebyście poszli się ubierać, już macie gotowe stroje, kółka u pasków sama tak ładnie wyczyściłam.

ROMCIO. Jakto, ty Ańdziu? Czy ty naprawdę jesteś z tego zadowolona, że zostajesz w domu? Nie zardzościsz nam wcale, ani tych ubrań, ani zabawy.

AŃDZIA. Możesz być pewien, że mówię prawdę, ja kłamać nie lubię.

TADZIO. Ej Ańdziu, okropnie jesteś tajemniczą.

AŃDZIA. No idźcie, idźcie chłopcy, bo mama na was czeka. (*Romcio i Tadzio wychodzą*).

## SCENA IV.

(*Andzia, Kasia, Stasia, później Romcio, Tadzio i pani B.*)

PANI B. Za chwilę jedziemy, jesteście już gotowi?

KAZIA. O! już oddawna mateczko.

PANI B. No a ty Ańdziu, czy jeszcze nie powiesz mi, co zrobiłaś z pieniędzmi?

AŃDZIA. Z największą chęcią, jeżeli mamunia ze chce posłuchać, opowiem rzecz całą.

PANI B. (*siada*). Mów Ańdziu, sądzę, że mi powiesz prawdę.

AŃDZIA. Z pewnością, mamusiu. Otóż w wilię dnia tego, w którym miałyśmy jechać do miasta kupić sukienki na balik, stałam na ganku, śpiewając z radości, że pojedę na zabawę... (*Wchodzi Romcio, Tadzio, w ubiorach wieśniaczych*).

AŃDZIA (*mówi dalej*). Wtem podchodzi do mnie Janowa, ta, której niedawno dziecko do chrztu trzymałam i z płaczem prosi mię, żeby ją poratować, bo moja chrześniaczka bardzo jest chorą, a ona nie ma za co kupić lekarstwa. Tak mi jej się żal zrobiło...

PANI B. I pewnie dałaś jej pieniądze przeznaczone na sukienkę?

AŃDZIA. Tak matuniu, wolałam wyrzec się przyjemności, żeby ratować biedne dziecko.

TADZIO. Ańdziu, przebac mi, ja już chciałem przezwąć cię łakomczuchem.

STASIA. A ja samolubem, jakże żałuję tego, ale powiedz nam poco posyłałaś dzisiaj do miasta?

AŃDZIA. Z receptą do apteki.

KAZIA. Ańdziu, jakaś ty dobra, a myśmy cię tak posądzali.

ROMCIO. A nie mówiłem, że onaby tego nie zrobiła o co ją posądzaliście.

KAZIA. Przebac nam to, siostrzyczko.

AŃDZIA. Ja wcale do was urazy nie mam.

PANI B. A teraz powiedz córeczko, dlaczego przedemną ukrywałaś to aż do tej chwili?

AŃDZIA. Dlaczego, mateczko? Dla bardzo prostej przyczyny, gdybym ci to zaraz powiedziała, z pewnością w sekrecie byłabyś mi sprawiła sukienkę, jak to już raz uczyniłaś, gdy dostałam pieniądze od babci na nowy kapelus, który nie był mi jeszcze potrzebny, i oddałam je biednemu chłopcu na buty.

PANI B. A czy nie chciałybyś mieć ładną sukienkę i jechać z nami na zabawę?...

AŃDZIA. Rzeczywiście byłaby to dla mnie przyjemność, ale jestem więcej, o wiele więcej zadowolona z tego, że się w domu zostaję, bo wiem, że tę parę rubli, które dałam Jakóbowej, naprawdę od siebie samej dałam. A wszak mówiłaś mi nieraz mateczko, że przyjemniej jest myśleć o swych bliźnich niż o sobie i pomagać im w potrzebie.

PANI B. Zawsze tak czyni moje dziecko, a wszyscy cię będą kochali.

AŃDZIA. Mateńko, jeszcze mam prośbę do ciebie: pozwól mi dzisiaj wieczór, zastąpić Jakóbowę przy dziecku, ona już tyle nocy nie sypia, a w dzień ciężko pracować musi, niech choć troszkę odpocznie. Ja będę tak szczęśliwą, szczęśliwszą niż Kazia, Stasia, które będą się bawiły na baliku. Wspomnienie zabawy prędko przeminie, lecz dobry uczynek na długo błogość w sercu zostawia.

PANI B. (*rozczulona całuje Andzię w głowę*). Drogie, kochane dziecko, niech cię Bóg błogosławi. (*Przez ten czas dzieci ustawiają się w półkole Andzia klęka w pośrodku na jedno kolano i tworzy się żywy obraz, oświetlony bengalskim ogniem*).

*Niezapominajka.*

## Przygody Iskierki, Perełki i Brylancika.

(Dalszy ciąg).

V.

### WYGNANIE ISKIERKI.

Po tem nieszczęśliwym zdarzeniu Iskierce zabroniono wchodzić do salonu i do jadalnego pokoju. Wprawdzie wbiegała tam niekiedy i skakała w około swej pani mrując i przymilając się, aby okazać swe przywiązanie. Czasami nawet pani pieściła ją, jakby wzruszona poczciwością kotki, najczęściej jednak mówiła: „Jaka to szkoda, że się z ciebie zrobiła taka duża kotka! Wynoś się do kuchni! Nie lubię kotów w pokoju. A psiki!”

— Cóżem ja winna, że wyrosłam i zestarzałam się? — z goryczą myślała Iskierka, i smutnie zwiesiwszy główkę, wracała do kuchni, skąd służące nie wypędzały jej dlatego tylko, że doskonale łowiła myszy. Ale ileż to razy popychano ją a nawet kopano nogą, jeżeli komukolwiek zawadzała!... Na nią to zawsze składano winę, gdy kucharka czegoś znaleźć nie mogła albo też zobaczyła stłuczony talerz czy spodek. Co chwila o uszy jej obijały się słowa:



— To pewnie sprawka tej szkaradnej kotki!

Prześladowana przez wszystkich, Iskierka przypominała sobie nieraz dawne szczęśliwe czasy, gdy całymi dniami leżała w koszyku przy kochanej mateczce, albo też bawiła się z Perelką i Brylancikiem, a Jakóbek i Zosia powtarzali, że żadne z nich nigdy jeszcze nie widziało tak ślicznego kocięcia.

Parę miesięcy upłynęło, a Iskierka coraz częściej bywała bitą, coraz częściej kucharka skarżyła się na nią.

— Trzeba będzie chyba wypędzić ją do stajni! — powiedziała raz pani, rozgniewana nową kradzieżą kotki, która chwyciła ze stołu udko kuropaty.

Iskierka przestraszyła się bardzo. Jakże jej tam będzie smutno i niewygodnie! Wypędzona do stajni nie znajdzie pewnie nic innego do jedzenia, prócz myszy i szczurów!... Ale parę dni upłynęło spokojnie, zaczęła więc pocieszać się nadzieją, że pani jej zapomniała o swym surowym rozkazie.

Niestety! Iskierka własnym postępowaniem przyczyniła się sama do przyspieszenia smutnej tej chwili.

Pani jej chowała ślicznego kanarka, na widok którego dawniej już Iskierka doznawała nieprzepartej pokusy: nieraz zdawało jej się, że coś ją ciągnie w stronę klatki. Wtedy gdy była małym kocięciem można było nauczyć ją, aby nigdy nie podchodziła ku klatce i nie ośmielała się wyrządzić krzywdy ulubieńcowi swej pani. Ale pamiętacie pewnie, że nikt nie zajmował się szczerze wychowaniem Iskierki. Ile razy spojrzała pożądliwie na kanarka oblizując się, jak gdyby łykała ślinkę, pani śmiała się tylko z zabawnych jej minek i albo wieszała klatkę wyżej, albo też zabierała z sobą Iskierkę wychodząc z pokoju. Gdy pani wyjeżdżała na wieś, kanarek towarzyszył jej w podróży, a podczas tych kilku miesięcy Iskierka zupełnie o nim zapomniała. Od chwili powrotu ze wsi, kanarek stał się znowu dla niej przedmiotem najgorętszego pożądanego. I czyż można winić ją za to? Instynkt wrodzony kotom popychał ją do łowienia ptaków i myszy; ile razy złapała mysz w kuchni lub w spiżarni, nikt jej za to nie ganił a nawet kucharka dawała jej często w nagrodę spodeczek mleka. Nauki dawane w dzieciństwie przez matkę, przyzwyczaiły ją także do duszenia ptasząt: ileż to razy Milutka prowadziła ją do ogrodu i uczyła czaić się na ptaki. Wprawdzie Jakóbek i Zosia przeszkadzali im nieraz, płosząc ptaszęta, ale i oni także nie uważali tego za zbrodnię.

— Taka już kocia natura! — z powagą tłumaczył Jakóbek siostrzyczce, która oburzała się na okrucieństwo ulubionej swej kotki.

Otóż pewnego dnia Iskierka, zobaczywszy drzwi otwarte, wsunęła się ukradkiem do salonu. Od pewnego czasu stała się ona bardzo bojaźliwą i nie wbiegała do pokoju tak śmiało, jak to czyniła wówczas, gdy była pewną, że pani weźmie ją na kolana albo też pozwoli położyć się na miękkiej kanapce.

W pokoju nie było nikogo. Iskierka rozejrzawszy się w około spotrzegła natychmiast, że klatka zawieszana zwykle dość wysoko u okna, stoi teraz na niskim stoliczku. Widocznie służąca musiała zdjąć klatkę, aby zmienić kanarkowi wodę i potem zapomniała powiesić ją na zwykłym miejscu.

Iskierka wsunęła pazury i skradała się ukradkiem, wlepiwszy w swą ofiarę wzrok równie okrutny, jak ten, którym może inny członek jej rodziny — krwiożerczy tygrys bengalski — starał się w tej samej może chwili, usidłać bezbronne zwierzę w gęstwinie lasów Indyjskich.

Nagle biedny ptaszek spostrzegł niebezpieczeństwo... umilkł, krzyknął raz przeraźliwie jak gdyby wzywając ratunku, i zaczął przeskakiwać z prątką na prątek. Ach! czyż nikt nie ocali go od śmiertelnego wroga, który za chwilę rozszarpie go bez litości? Niestety! nikt nie słyszał rozpaczliwego krzyku ptaszyny! nikt nie przybiegł na pomoc!

Tymczasem Iskierka przysuwała się coraz bliżej do klatki... Zręcznym susem wskoczyła na stół... wsunęła łapkę pomiędzy druty... i zatopiła w ciele kanarka ostre, długie pazury... Łatwo odgadnicie, co później się stało... Iskierka nie zdążyła jeszcze wyciągnąć łapki z klatki nieszczęśliwej ofiary, gdy nagle usłyszała głośny okrzyk przerażenia i zeskoczyła ze stołu. To pani jej wszedłszy w tej chwili do pokoju, była świadkiem okrutnej śmierci ulubionego swego ptaszka.

Tego co teraz nastąpiło, Iskierka nigdy potem przypomnieć sobie dokładnie nie mogła: zdaje mi się jednak, że musiała doznawać takiej samej trwogi, jaką czuł biedny kanarek widząc ją koło siebie. Goniono ją po całym domu, a choć wreszcie wymknęła się na schody, nielitościwi prześladowcy podążyli za nią i wreszcie została złapana.

— Nie daruję jej tego! — z gniewem wołała pani. — Biedny mój Fifi!... Zabijcie ją! Zabijcie natychmiast!...

Kto wie czy w tej chwili nie stanęła jej w myśli twarzyczka Zosi, której przyrzekła opiekować się troskliwie jej wychowanką?... Czyż istotnie dotrzymała danego słowa? czy słusznie czyni chcąc tak okrutnie ukarać kotkę za to, czego rzeczywistą przyczyną było niedbalstwo służącej?

— Nie! nie zabijajcie jej! — spokojniejszym już głosem powiedziała po chwili milczenia. — Ale nie chcę widzieć jej więcej. Zamknijcie ją w stajni, niech tam łapie myszy i szczury! Biedny mój Fifi! — powtórzyła znowu wyjmując z klatki zbroczone krwią zwłoki kanarka.

Tak więc Iskierka została nieodwołalnie skazaną na wygnanie. Woźnica zaniósł ją do stajni, która odtąd miała jej służyć za jedyne schronienie. Poczciwy to był człowiek, nie miał serca znęcać się nad biedną, napwół nieżywą ze strachu kotką, pomieścił ją na strychu, pozatykawszy starannie wszystkie szczeliny, przez które mogłyby się wymknąć.

Przestraszona Iskierka, nie rozumiejąc co się z nią dzieje, nie śmiała z początku ruszyć się z miejsca. Ach! teraz dopiero żal jej było wszystkiego co utraciła! zgodziłaby się chętnie powrócić nawet do kuchni, chociaż tam obchodzono się z nią nie bardzo łaskawie... Ogromne wiązki siana leżały na strychu, niewiele więc miała miejsca, ale na sianie można znaleźć ciepłe i miękkie poślanie. Przez kilka godzin Iskierka miauczała żałośnie, potem próbowała uciec, wreszcie położyła się na sianie i zapomniawszy o wszystkich nieszczęściach, usnęła spokojnie.



Przez kilka następnych dni Iskierka nudziła się bardzo. Furman i chłopak stajenny przychodzili często do koni, ale żaden z nich na strych nie zajrzał. Wreszcie głód dokuczać jej zaczął, rozpoczęła więc polowanie na szczury. Dawniej łapała myszy i szczury dlatego tylko, że czajenie się na nie i uganianie za niemi, sprawiało jej przyjemność, najczęściej zadusiwszy ofiarę, zostawiała ją nietkniętą. Teraz jednak myszy smakowały jej dosyć. Stopniowo przyzwyczaiła się do zmiany, jaka zaszła w jej życiu, aż wreszcie furman, przyszedłszy pewnego dnia po siano, zostawił otworem kłapę, zamykającą wejście. Od tej pory Iskierka mogła już biegać swobodnie po całej stajni.

Nikt nie bawił się z nią, nikt jej nie pieścił, to też zdziaczała teraz i zaczęła uciekać od ludzi. Ale za to przyjaźniła się prędko z końmi. W stajni stały trzy konie, z których szczególnie jeden bardzo jej się podobał: nieraz gdy zimno dawało jej się we znaki, wskakiwała mu na grzbiet i usypiała spokojnie. Chłopak stajenny, Wojtek, który, niestety! miał brzydki zwyczaj dokuczania zwierzętom, dziwił się tej przyjaźni między kotką a koniem i nigdy Iskierki nie spędzał.

Nie zapomnieliście pewnie o małej Joasi, która raz już zlitowała się nad Iskierką.

Wojtek lubił bardzo Joasię i pewnego dnia przeprowadził ją do stajni, aby zobaczyła kotkę śpiącą na grzbiecie konia.

(d. c. n.)

### ZAGADKA.

Bez nóg, a jednak się rusza,  
Bez rąk, a skarby wciąż mierzy,  
Choć nie ożywia go dusza  
Temu, co gada, się wierzy. —  
Wesołym, czy znojnym pracą  
W każdej porze dnia czy nocy  
Mówi ludziom ile tracą,  
Co dogonić nie w ich mocy.

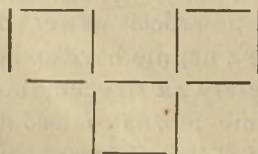
### KWADRAT MAGICZNY.

e e e	1. Mieszkania pszczoł.
l a l	2. Król zwierząt.
u w w	3. Imię żeńskie.

### ROZWIĄZANIA DO N-ru 42-go.

Szarady: War — sza — wa.

Łamigłówki z patyczków:



## Skrzynka do listów.

H. Łep. otrzymał już listowną odpowiedź rozstrzygającą nieporozumienie z księgarnią. Numer brakujący wyprawiliśmy na pierwsze żądanie, teraz prosimy o odebranie go w Redakcyi. Żądanej powieści nie posiadamy już wcale, jest do nabycia w księgarni Orgelbranda za rs. 1 kop. 20.

Blondynka z nad Pilicy spóźniła się wprawdzie z nadesłaniem roboty, ale dobre chęci zawsze oceniamy, ubranie zaś zawsze się przyda ubogim dzieciom, w imieniu których zasyłamy serdeczne „Bóg zapłać”.

Lilia nadesłała nam rozwiązanie dobre, chociaż zmieniła wyrazy znajdujące się na końcu.

Marya C. dostać może potrzebny jej komplet z dodatkami za rs. 4, musimy jednak wiedzieć, z którego roku życzy go sobie.

Żabce nad obrzańskiej. Dwie ubogie rodziny obdarzone jej przesyłką serdeczne dzięki zasyłają, modląc się za jej pomysłość. Żądane numeru wysyłamy, co do rzeczy o kwiatach podzielamy zamiłowanie twoje do nich kochana Żabko, i pojmujemy jak nauka botaniki jest potrzebną, dlatego też często bywają wzmianki w Wieczorach o różnych pożytecznych lub osobliwych roślinach, a opowiadanie z wyspy Atlanty, mieści w sobie pewien rodzaj kursu botaniki dając nauczające opisy roślin i kwiatów. Nie mogliśmy więc następnie umieszczać czegoś, co mówi jedynie o ich powierzchownym wyglądzie i wrażeniach jakie wywołuje ich widok.

Lubię listy twoje, kochany Marynarzu, zawsze bowiem zadajesz mi pytania, które mię zmuszają do szperania w pamięci, do przypominania sobie tego, com czytał lub czego się uczyłem. Prawdę ci mówiono: tak olhrzymia robota, jaką jest podziemny kanał, mający dać ujście falom wodospadu Niagary, jest już rozpoczętą. Przewiercono już na długość 6,000 stóp granitową skałę, stanowiącą od wieków zaporę dla wód katarakty, pozostaje tylko jeszcze do rozsadzenia stóp. 1000. Pracują nad tem dwa oddziały robotników; każdy liczy po 400 ludzi, jedni pracują w dzień a drudzy w nocy. Kanał, który ma odprowadzać wody, szerokim jest przeszło na sto stóp, i mieć będzie odpowiednią głębokość. Do rozsadzania skał używają dynamitu, który się przechowuje w stanie zamrożonym, a do użytku odmrażanym bywa za pomocą cieplej wody, przyczem naturalnie zachowywane są wszelkie ostrożności, niezbędne przy użyciu tak niebezpiecznego wybuchowego środka. Co zaś do tego nowego teleskopu, o który pytasz, to rzecz tak się ma: największym dotychczas istniejącym, jest teleskop w Górach Skalistych, ale już francuz *Deloncie*, deputowany, naradzał się z astronomami Obserwatorium paryskiego o sposobach zbudowania jeszcze większego. Reflektor jego ma być gruby w środku na pół metra, średnica zaś dochodzić będzie trzech metrów. Rozmiary to dotychczas niebywale, koszta ogromne, a trudność odlania takiego szkła bardzo wielka. Dokonania tak wielkiej pracy podjęła się istniejąca w Saint-Gobain pracownia szkła naukowych, a jeżeli się odlanie szkła uda, o czem wielu kompetentnych powątpiewa, to nowy teleskop będzie można oglądać na wystawie paryskiej, zapowiedzianej na rok 1900. Powiększać ma obserwowane przedmioty 15,000 razy, o tyle naturalnie o ile ustawionym będzie w odpowiednich warunkach atmosferycznych na szczycie wysokich gór, gdzie żadne mgły i opary nie zamknięją widnokregu, objętego przez patrzące oko. Powtarzam: wątpliwą jest rzeczą, czy śmiały ten projekt da się wprowadzić w wykonanie, ale, jeżeli się powiedzie, będzie to jedno z największych dzieł XIX w. tak dobrze zasłużonego już nauce. Obiecuję sobie śledzić w pismach wszystko co w tej kwestyi donosić będą, a tymczasem przyjaźnie cię pozdrawiam.

Józio.